

## Herbert i Larkin – Istotna sprawa.

Witold Gombrowicz uczył, że nie ma sensu pytać „czy ta zupa jest dobra?“, bo interesować nas powinno tylko, czy nam smakuje.

Spróbujmy więc. Najpierw twórczość Herberta.

Po dwóch łyżkach zazwyczaj wiemy już, że nie jest to danie dla wszystkich. Gdzie tkwi przyczyna? Piotr Śliwiński w swoim „Herbert, mimo wszystko”<sup>1</sup> stwierdza, że „obcość” tegoż bierze się z rygoryzmu moralnego. Czy znaczy to tylko, że brak nam – „młodym” potrzeby imperatywu, nie chcemy etycznych drogowskazów?

Herbertowska zasada nonkonformizmu stoi w opozycji do modernistycznego i postmodernistycznego pojmowania świata. Wszechwładny BRAK Istoty i poczucie zniewalającej PUSTKI zagłuszane jest w poezji Herberta zaciekle. Zagłuszane wierszem, zagłuszane słowem – po prostu głosem.

Przypatrzmy się pierwszemu z „głosów”, jaki dziś do nas przemawia:

To wiersz Herberta – *Głos wewnętrzny* (przytaczam we fragmentach)

Mój głos wewnętrzny

niczego nie doradza

niczego nie odradza

nie mówi ani tak

ani nie

jest słabo słyszalny

i prawie nieartykułowany

nawet jeśli się bardzo głęboko pochyli

słysząc tylko oderwane

od sensu sylaby

staram się go nie zagłuszać

---

<sup>1</sup> Materiały z sesji naukowej poświęconej twórczości Zbigniewa Herberta – 11 kwiecień 2008 w Ostrowie Wielkopolskim.

obchodzę się z nim dobrze

udaję że traktuję go na równi  
że mi na nim zależy

czasami nawet  
staram się z nim rozmawiać  
– wiesz wczoraj odmówiłem  
nie robiłem tego nigdy  
teraz też nie będę

– glu glu

– no więc sądzisz  
że dobrze zrobiłem

– ga go gi

cieszę się że się zgadzamy

– ma – a

– no a teraz wypocznij  
jutro znów pogadamy

nie jest mi na nic potrzebny  
mógłbym o nim zapomnieć

nie mam nadziei  
trochę żalu  
gdy leży tak  
przykryty litością  
oddycha ciężko  
otwiera usta

i stara się podnieść  
bezwładną głowę

Po co Głos, który nie ma mocy zmieniania świata? Po co Głos, który nie potrafi orzekać o rzeczywistości, więc jej kreować, w niewielkim choć stopniu wpływać na nią? Skarłowacenie Głosu, jego „ledwo-zauważalność” nie jest winą samego podmiotu – ten zapewne chciałby mieć znaczący Głos wewnętrzny, choćby po to, by z nim polemizować. Chciałby zdecydowanych i kategorycznych imperatywów, którym mógłby się przeciwstawiać. Czasem godzić się z nimi, czasem je zwalczać. Pragnąłby jasno określonych granic, stałych zasad, niezmiennych reguł dla siebie i świata.

Niestety rzeczywistość nie jest tak łaskawa. Pluralizm, wielość, przygniatająca różnorodność sprawiają, że nie ma już jasnych granic. Znikają krawędzie i dlatego niemożliwe jest życie na nich.

Świat złożony jest z barwnych elementów, ale w konsystencji przypomina plastelinę – wystarczy poddać go uciskowi, by z oddzielnych kolorowych porcji powstała jedna, szara, nieokreślona masa. Z owej plastycznej, choć nieciekawej materii nietrudno jest wziąć i wykreować siebie. Pytanie tylko, czy warto?

Skoro z wnętrza Ja podmiotu dochodzą tylko sylaby bez znaczenia; skoro głos jest jałowy, bo bez wpływu na Ja i świat wokół, to dlaczego podmiot liryczny wyznaje: „staram się go nie zagłuszać”? Na usta ciśnie się: ZE STARCHU.

Spójrzmy raz jeszcze – ów Głos wewnętrzny „niczego nie doradza/ niczego nie odradza” – jest więc nic nie znaczącym brzmieniem, zaledwie szmerem sumienia. Szumem, którego podmiot nie potrafi odczytać. Postulowana treść zawierająca wskazania „jak żyć” nie może zostać zdekodowana. Głos wewnętrzny „nie mówi ani tak ani nie”, ale wciąż coś jednak majączy.

Zauważmy więc - Podmiot liryczny to wyraźna ofiara ponowoczesności. Wrzucony w świat bez oparcia dla moralności, stara się ze wszystkich sił wytworzyć sobie jakiś tron dla swojej etyki. Ponieważ to, co dzieje się dookoła przepełnia go trwogą, to ratunku szuka w sobie – w swoim wnętrzu – w głosie swojego sumienia. Niestety i ono nie jest takie, jakie być powinno. I ono w obliczu skarłowacenia świata stało się jakieś niepełne, kulawe – pozbawione zostało swego autorytetu, mocy kategorycznego orzekania. Ja liryczne wyraźnie zaznacza, że przekaz sumienia jest obojętny, by nie rzec dobitniej – BEZWARTOŚCIOWY.

Żyjemy w świecie, w którym desperacko próbujemy na nowo zrehabilitować wartości; gdzie, jak tonący brzytwy, chwytamy się słów i deklaracji, które kiedyś miały w sobie sens

moralny. Dziś w te puste Formy, w te wydmuszki bez treści, staramy się wlać choć złudzenie prawdy. W *Głosie wewnętrznym* odczytać możemy, że sumienie podobne jest do kalekiej rzeczywistości (kuleje moralność świata, więc tak samo utyka moralność pojedynczego człowieka – podmiotu).

Poza jednoznacznym stwierdzeniem nachodzenia na siebie biegunów moralności, wyartykułowania bolesnej transparencji dobra i zła, widać też tęsknotę za jasno określonymi kategoriami moralnymi. Jest to nostalgiczne pragnienie powrotu do czasów, gdzie „tak” i „nie” było jasnym komunikatem, mającym moc ustawiania elementów świata na właściwym miejscu. Słysząc więc żal Ja lirycznego, które chciałoby na powrót znaleźć się w tej rzeczywistości, gdzie obowiązuje stały, jednoznaczny i znany wszystkim kodeks. Niestety Głos wewnętrzny, który kieruje współczesnymi jednostkami jest „prawie nieartykułowany” – brzmi jak stara zdarta płyta, której trzaski codzienności brutalnie pozbawiają sensu cały przekaz.

Pozostaje więc tylko wycucie i próba samodzielnego podejmowania decyzji bez żadnego oparcia. Pozostaje budowanie na nowo moralności.

Jednak, czy Herbert – autorytet, twórca drogowskazów, autor słynnego „Przesłania Pana Cogito” kontestuje brak etyki współczesnego świata załamując ręce? Czy może także w tym wierszu pojawia się rodzaj dyskretnej ironii, która ułatwić ma „przełknięcie” rzeczywistości, w jakiej przyszło nam żyć?

Wydaje się, że Ja liryczne między wersami ubolewa nad brakiem stałości, nad zanikiem permanentnej etyki. Można wyczuć lęk, jakim napawa go wymienialność i tymczasowość kodeksu moralnego współczesności. Znajdujemy przecież słowa: „nawet jeśli się bardzo głęboko pochyli/ słysząc tylko oderwane od sensu sylaby” – to swoista deklaracja wysiłku, jaki podmiot podejmuje, by dotrzeć do sedna, by znaleźć w sobie podstawową wartość. Jakies pierwociny człowieczeństwa, z których można by stworzyć pewną (w znaczeniu stabilną) moralność.

Niestety te próby zwrócenia się do wnętrza siebie w poszukiwaniu oparcia, nie dają rozwiązania. Podmiot odkrywa, że to, co w nim brzmi, to tylko fonetyczny bełkot.

Człowiek wybrał rozum jako drogowskaz i oparcie dla swojej egzystencji. Odrzucił to, co wydało się stworzone, aby ograniczać intelekt – zaniechał więc kultuwowania tradycji i wyznawania wiary (w gruncie rzeczy przestał wierzyć w Boga w ogóle).

Z odrzuceniem wiary pozbawiał się jednak i nadziei – uzbroił się w Ratio i stwierdził, że nie potrzeba mu nic więcej. Dopiero chwilę potem okazało się, że nasz już niemal przysłowiowy Pan Cogito pozbawił się tym samym jedynych mu dostępnych gwarantów moralności

w świecie. Wyzuł siebie z metafizyki tak, jak zdejmuje się stare buty, do których za moment przyjdzie nam zatęsknić, bo okazuje się, że czyniły chodzenie po tym świecie mniej bolesnym. Bowiem w codzienności, w której dominuje rozum, nie udaje się zapchać pustki dedukcyjnymi sądami.

W każdym myślącym Ja tkwi potrzeba odczucia głębszego sensu, której niezaspokojenie rodzi lęk przed nicością i bezwartościowością. Poczucie bezsensu sprawia, że Ja liryczne nie potrafi w sposób jednoznaczny zdusić sumienia. Zachowuje pozory troski. Obserwujemy więc „wyrozumiałość” Ratio, które toleruje niezaradne sumienie. Pozwala mu na jego życiowe „inwalidztwo”, zdając sobie sprawę z realiów współczesnego świata. Wie, że sądy głoszone przez sumienie są nieadekwatne do rzeczywistości, w jakiej żyje podmiot. Nie przystają one do świata, w którym, jak to świetnie ujął Bauman – „pielgrzym zmienił się w turystę”. Gdzie nie liczy się już zbawienie, a walka o skonsumowanie jak najwięcej z oferty świata. (Trzeba kolekcjonować wrażenia, gromadzić przeżycia a nie rozważać moralność postępowania). Jednostka etyczna ginie w łańcuchu pokarmowym pożarta przez konsumujące społeczeństwo. Na samym szczycie stoi pieniądz, który ułatwia określanie elementów świata w kategoriach zysków i strat.

Kaleki Głos sumienia wydobywa z siebie starcze (dlatego tak bolesne) gaworzenie. Racjonalny podmiot nie potrafi usystematyzować tych sylab w przekaz – jedyne więc, co ze swej „wspaniałomyślności” robi, to lekceważy i z politowaniem pozwala mu w nieskończoność mówić wciąż to samo, do wciąż tego samego, głuchego na wszystko słuchacza.

Jednak zastanówmy się, kto tutaj w istocie jest kaleki – czy niezrozumiany przez podmiot Głos, czy głuche na swe sumienie Ja liryczne?

Ponieważ na koniec pada wyraźna deklaracja „nie mam nadziei” wnioskować można, że podmiot liryczny jest przerażony perspektywą zupełnego zniknięcia sumienia. Boi się całkowitego braku oparcia, mimo że osłabione sumienie nie daje go w pełni.

Nie chce radzić sobie sam z pustką, która nastanie wraz z odejściem Głosu wewnętrznego.

Brak transcendencji, odrzucenie esencji sprawia, że wszelka potencja staje się przerażającą i pochłaniającą pustką, wobec której rozum jest bezbronny. Choć pozornie Ja (dumnie głoszące Cogito ergo sum) lekce sobie waży własny Głos wewnętrzny – mówi „nie jest mi na nic potrzebny” – to nie stanowi to dowodu na jego moc. Bowiem ignorancja to w gruncie rzeczy powód kalectwa podmiotu.

Założone z góry traktowanie sumienia jako przekazu bez sensu, obnaża jałowość wnętrza samego człowieka. Intelkt wystarczy, by wykoncypować i ucieleśnić najwymyślniejszą Formę istnienia, jednak nie sprostą nigdy zadaniu nadania bytowi sensu. To, co tkwi w podmiocie i pamięta jeszcze czasy, gdy sens był oczywistością, teraz tylko – „oddycha ciężko/ otwiera usta/ i stara się podnieść bezwładną głowę”. Właśnie dogorywa.

Pokuśmy się o odnalezienie *porte parole* autora – jest nim Głos zagłuszany przez rzeczywistość. Herbert zdecydowanie chciałby, aby stał się on na powrót słyszalny.

Czas na drugie danie.

U Larkina lęk również przepęlnia Ja liryczne. Jednak głos podmiotu wybrzmiewa dobitniej:

Z tomu Larkina *High Windows* (1974) (w przekładzie Jacka Dehnela)

*Wysokie okna*

Gdy widzę parę dzieciaków i wiem, że

Ona spiralę nosi albo bierze

Jakieś globulki, a on ją posuwa,

Myślę: to właśnie jest ten raj, o którym

Wszyscyśmy, starzy, marzyli - formuły,

Gesty i więzi zepchnięte na stronę

Jak przestarzałe kombajny - i każdy

Kto młody, zjeżdża długim, śliskim torem

Ku szczęśliwości, bez końca. Ciekawe,

Czy ktoś tak na mnie czterdzieści lat temu

Patrzył i myślał: *Ten będzie miał klawe*

*Życie; żadnego tam Boga, żadnego*

*Potu w ciemnościach na myśl o tym wszystkim*

*I piekle, powie, co zechce, o księżkach:*

*On i podobni jemu długim, śliskim*

*Torem w dół zjadą jak swobodne, ciężka*

*Cholera, ptaki.* I od razu zamiast  
Słów, myśl się zjawia o wysokich oknach:  
Gdzieś za szybami zalanymi słońcem  
Głęboki błękit powietrza objawia  
Nic, które nigdzie jest - i jest bez końca.

Jest to śmiały, zgorzkniały, ale i prostolinijny komentarz do naszej rzeczywistości.  
U Larkina Ja liryczne postanawia zdiagnozować świat wychodząc od prostego obrazu ocenianego z perspektywy dojrzałego człowieka, który przeżył niejedno i pamiętając swoje doświadczenia komentuje rzeczywistość.

Widzi „raj” wyzwolenia, którego symbolem staje się antykoncepcja umożliwiającą przygodność relacji międzyludzkich całkowicie pozbawianych konsekwencji. To, co kiedyś istniało w sferze marzeń Ja lirycznego i jego rówieśników, teraz stało się oczywistym i bezrefleksyjnym elementem codzienności.

Czyżby więzienie Formy (gesty i więzi) okazały się zbawiennym rusztowaniem dla poczucia moralności? Stały się rodzajem etycznego wyznacznika, do którego teraz tęsknimy? Gdy stała Forma, czyli tradycja i religia, zniknęły, pozostał ruch – permanentne dążenie „ku szczęśliwości, bez końca”. Zapanowała nowa epoka moralności, w której egzystuje się po to, by osiągać coraz to bardziej ekstremalne wrażenia. Nie liczy się już prawda, a istotnym staje się dążenie do osiągnięcia szczęścia.

Zważmy, że nie owa „szczęśliwość” jest bez końca, a nieskończone jest dążenie ku niej. Zostaje ono w znamienny sposób opisane, jako podróż śliskim torem. Śliskim, więc niepewnym, zdradliwym, grożącym utratą panowania nad trajektorią życia. Ale także przecież dwuznacznym, nieprzyzwoitym, sprośnym. Tor, którym podąża nasze życie zaczyna jawić się pejoratywnie. Nawet szczęśliwość zostaje pozbawiona wartości przez drogę, która do niej prowadzi.

Ja liryczne spogląda na siebie i świat z dystansu – wie, że dzisiejsze pragnienia i wartości mogą z perspektywy czasu stać się małe, śmieszne i, co gorsza, przerażająco namacalne.

**Wolność** – wyzbycie się tłamszących obrzędów religijnych. Pójdźmy dalej – likwidacja idei Boga – wszelkich idei metafizycznych – zanegowanie transcendencji.

**Wolność** czyli brak lęku będący efektem braku grzechu; występki przeciw prawu staje się niemożliwy, bo nikt nie wierzy już w dekalog.

A jednak pot na skroni pojawia się równie często i równie mocno przeraża coś nieokreślonego.

Niemożliwa jest kondycja człowieka – „wolnego ptaka”. Dlatego pojawiające się stwierdzenie „swobodne ptaki” użyte jest ze świadomością nieadekwatności marzeń z przeszłości do tego, co naprawdę jest dane w nowej rzeczywistości. Wolność staje się nagle egzystencjalnym problemem – zaczyna być obwarowana Sartre’owską odpowiedzialnością. Nie jesteśmy już zdeterminowani, nasza moralność nie jest obciążona nakazami tkwiącymi w tradycji i religii. Skoro odrzuciliśmy te zasady, odrzuciliśmy tym samym wiarę w Boga. Zostaliśmy sami wobec nicości.

Zapadł wyrok.

Jak mówi Sartre – zostaliśmy SKAZANI NA WOLNOŚĆ.

Sami dla siebie stajemy się gwarantami moralności, jakże jednak słabymi, skoro nasze byty to nic innego, jak „jazda śliskim torem w dół”. Jesteśmy pozbawieni usprawiedliwienia z zewnątrz – nie ma „swobodnych ptaków”. Jedyne lot, na jaki możemy sobie pozwolić, to lot z wysokiego okna, który skończy się równie tragicznie, jak się zaczyna. Początkiem bowiem tej samobójczej podróży staje się refleksja, że za szybą, poza błękitem nieba, nie istnieje nic więcej. Na osi wertykalnej została tylko fizyczność – niebo i ziemia są pozbawione jakiegokolwiek transcendencji.

Ja liryczne już wie, że uwolnienie z pętających nakazów daje wolność, która nie jest szczęściem. Wolność ta bowiem obnaża absurd życia – pokazuje Larkinowskie „spadanie śliskim torem” w otchłań nicości.

„Nic, które nigdzie jest – i jest bez końca” to największa potęga – to moc niszcząca rzeczywistość świadomego swej tragicznej egzystencji podmiotu. Świat jest usytuowany „nigdzie” i dlatego nie ma w nim miejsca na jakąkolwiek ideę. To, co wieczne i wszechogarniające to właśnie „Nic bez końca”.

Podmiot *Wysokich okien* obserwuje, jak wszyscy zajęli się istnieniem i nie pamiętają już nawet, że odrzucili kiedyś istotę swego bytu.

On sam pamięta i to nie daje mu spokoju. Widzi życie jako samobójczy lot z wieżowca i ludzi nieświadomych spadania, przy każdym kolejnym piętrze powtarzających - „jak na razie jest dobrze... jak na razie jest dobrze...”.

Egzystencjaliści nauczyli nas, że z tezy „nie ma Boga” trzeba wyciągnąć konsekwencje do końca – trzeba zdać sobie sprawę, że wraz ze zniknięciem Absolutu znikają też wartości a priori. Nasz Głos wewnętrzny staje się ledwo słyszalnym bełkotem, gdy liczymy na istnienie sumienia.

Ja liryczne w wierszu Larkina nie ma już żadnych złudzeń. Wie, że w świecie ponowoczesnym nic nie jest gwarantowane prócz śmierci. Co więc do nas dotrze, gdy wsłuchamy się w głos z *Wysokich okien*? NIE MA JUŻ NIC PEWNEGO, BO NIE MA BOGA. NIE MA WIĘC WIARY. NIE MA NADZIEI.

W Herbertowskim *Głosie wewnętrznym* brak takiej zdecydowanej deklaracji – tam podmiot jest pełen przekonania, że rozum jest wystarczającym narzędziem porządkującym świat. Jednak to nie to przekonanie jest właściwym przekazem Herberta – to, co poeta chciał ocalić to przecież starczy, słabnący głos sumienia. To moralność i etyka biorąca się z tradycji. To jest właśnie radykalizm etyczny Herberta, o którym mówił przywołany na początku prof. Śliwiński.

Dwoje radykalnych egzystencjalistów, dwa radykalne głosy.

Pytanie brzmi – co wolimy – Larkinowską rezygnację i zgodę na rzeczywistość czy Herbertowską syzyfową walkę o resztki stałego oparcia moralnego? Gdzie tkwi „więcej” sensu?

Trudno o odpowiedź.

Jedno jest pewne: tę zupę zjeść trzeba, bo POŻYWNA, a smakować zacznie z czasem. Taką mam nadzieję. I to powtórzę Gombrowiczowi.

Monika Bolach

22 października 2008 Kalisz